

Dojrzewanie gruszki

Jest aktorką Starego Teatru w Krakowie. Zanim zagrała główną rolę żeńską Ireny Lillien w najnowszym filmie Andrzeja Wajdy „Wielki Tydzień”, wg Jerzego Andrzejewskiego, dała się poznać jako laureatka Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu (w 1991 r.) oraz autorka i wykonawczyni recitalu „Robota bardziej szkicowa” wg tekstów Witkacego z muzyką Zbigniewa Raja i Stanisława Radwana.

— Po wrocławskim Festiwalu mam etykietkę „aktorki śpiewającej” — mówi Beata Fudalej. — Nienawidzę tego określenia. W żadnym wypadku nie powinno się tworzyć fenomenu z tego, że aktor śpiewa, bo to jest jego zadanie. Bozia obdarzyła mnie lepszym uchem niż głosem, dlatego strasznie się męczę śpiewając, bo dokładnie słyszę, gdzie jest niedobrze. Samo śpiewanie mnie nudzi. Interesuje mnie dopiero wtedy, kiedy ma kontekst teatralny.

Przebywanie wśród sław i gwiazd Starego Teatru dla młodej aktorki nie okazało się na szczęście stresujące:

— Im większa gwiazda, tym sympatyczniejszy człowiek. Ten zespół fantastycznie przyjmuje nowe osoby. Większy stres miałam w spotkaniu z moimi szkolnymi profesorami. Z Jerzym Trelą siedem razy przechodziłam „na ty”, aż mnie w końcu obrugał.

Grała u największych: Andrzeja Wajdy, Jerzego Jarockiego, Krystiana Lupy.

— Z profesorem Jarockim robiliśmy w szkole „Ślub”, w którym zagrałam rolę Matki. Często aktor po świetnym okresie w szkole styka się z prozą teatralną i przez dwa, trzy lata grywa w chórkach. W „Ślubie” w Starym, byłam jedną z takich osób. Przez dwa sezony grałam tylko w tym chórk. Śpiewaniem zajęłam się m.in. dlatego, żeby coś robić. Dostałam się do Starego Teatru w momencie, kiedy już bardzo ciężko było o etaty, wchodziła w życie reforma teatralna. Z mojego roku, na którym były 23 osoby, do teatrów trafiło... pięć. Reszta np. prowadzi hurtownie. Do Starego Teatru dostałam się dzięki Krystianowi Lupie. Robiliśmy z nim dyplomowych „Braci Karamazow” i on mi później zaproponował tę samą rolę Lizy Chochłakow na profesjonalnej scenie.

„Teraz poznałem nową gwiazdę Starego Teatru — nową dla mnie, bo pierwszy raz z nią pracuję — panią Beatę Fudalej” — mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Andrzej Wajda. Aktorka zagrała u niego w „Mishimie”. W czterech jednoaktówkach, które mówią o grach namietności i emocjonalno-uczuciowych pojedynkach między ludźmi. Jej partnerką była Anna Polony.

— Z nikim jeszcze tak dobrze mi się nie grało. Jeśli coś mi się na scenie nie udało, Anna Polony zawsze zagrała tak, żeby z mego potknięcia zrobić walor. Na tym polega prawdziwa współpraca na scenie. O ile na próbach mogą być różne niesnaski, to przed publicznością nie może być już o tym mowy. Wiadomo, że jeżeli gorzej zagram, to gorzej wypadnie również rola partnerki czy partnera. W Starym Teatrze wszyscy dokładnie to rozumieją.

Zanim Beata Fudalej trafiła na plan filmu Andrzeja Wajdy, nie miała dobrych kontaktów z filmem:

— Zdjęcia próbne, w takiej formie, w jakiej się odbywają u nas, są grubym nieporozumieniem. Byłam kiedyś na takich... Nikt nie oceniał mego aktorstwa. Spotkałam się z chamstwem, dyletantstwem i nieszczerością, wynikającymi m.in. z faktu, że u nas wzywa się aktorów bez rozeznania jak wyglądają, jaki mają timbre głosu. Ale jeśli ktoś stwierdza, że mój typ psychofizyczny nie pasuje do re-



Fot. MICHAŁ SADOWSKI

żyserskich wyobrażeń, to powinien powiedzieć: „Bardzo panią przepaszam, nie o ten typ mi chodzi”. Zamiast tego odbywają się różne gierki, np. udawanie, że się nie wie, kto jest skąd... Pewna pani reżyser, po wysłuchaniu tego, co mówiłam do kamery — że jestem z Krakowa i po krakowskiej PWST — przez 15 minut zadawała mi później pytania, a co drugie brzmiało, czy naprawdę nie jestem z Łodzi. Dopiero teraz, przy pracy w „Wielkim Tygodniu”, spotkałam się z pełnym profesjonalizmem całej ekipy.

Więcej szczęścia miała aktorka w Teatrze Telewizji. Zagrała w „Wypisie” w reżyserii Jacka Gąsiorowskiego, w „Siostrzyczkach” u Barbary Sass i w „Zabawie w koty” u Marty Mészáros. Grała w „Opisie poranka” wg Idy Fink w reżyserii Jana Buchwalda i tytułową rolę w „Bet tinie” de Musseta w reżyserii Teresy Kotlarczyk.

Aktorka chętnie opowiada o zaskakujących uwagach Andrzeja Wajdy, który zwraca się do aktora np.: „Niech mi pan to zagra jak brunet. Pan gra jak blondyn!”

— W „Adamaszkowym bębenu” Mishimy gram kobiecego potwora, wampa, który nie oszczędza nawet ducha. Jestem typem „parcianym” i tak ubrana przychodziłam na próby. Mistrz nagle przerywa pracę i mówi: „Pani Beato, w tekście jest mowa o jakiejś pięknej kobiecie, a tu mi gazeciarz chodzi po scenie”. Zaczęłam zakładać buty na obcasie, żeby nie denerwować Mistrza. Z kolei w „Wachlarzu” gram szaloną-nieobecną, przez lata czekającą na powrót narzeczonego. „Pani Beato — powiedział mi reżyser — ja myślę, że to jest taka gruszka. Ona sobie wisi, dojrzewa, czasem się zdenerwuje, jak ją przesłoni jakiś listek, ale głównie czeka. Może ktoś przyjdzie i ją zerwie”. Zagrałam to tak, jak zrozumiałam te uwagi. Mistrz przyszedł do garderoby i mówi: „No, pięknie. Tylko wie pani co? Ta gruszka... Ona jest węższa na górze, a szersza u dołu”.